

605

# IRENA JUN



**– Jest Pani przede wszystkim aktorką teatralną, czy nie wypływa to z chęci natychmiastowej konfrontacji z widzem kolejnych dokonań artystycznych?**

– Nie ulega wątpliwości, że konfrontacja propozycji artystycznych z widzem – to dla aktora sprawa podstawowa. Gra się przecież dla publiczności. Film i telewizja stwarzają fizyczną barierę w bezpośrednim kontakcie z odbiorcami. Nie jest on osiąganym w trakcie grania. Oczywiście emocje, które daje rola są niezależne od tego, czy ktoś nas ogląda, czy nie. W bezpośrednim kontakcie powstaje napięcie, konflikt, porozumienie lub też jego brak między mną a widzem. Jest to jakby „gra” o jego uwagę, może niechęć lub sympatię, coś wyczuwalnego nieomal fizycznie i kreującego nasze akcje – reakcje. Ostateczny efekt mojej pracy – powstaje podczas tej konfrontacji.

To, co zdarzyło mi się grać w telewizji, czy filmie stawało się podczas realizacji uboższe niż moje wcześniejsze wyobrażenie. Czułam, że gram poniżej swoich możliwości. Mam pewne skłonności do nadekspresji, do stylizacji. Film natomiast operuje konkretem, realizmem. Chciałabym zagrać coś na pograniczu realizmu i poezji.

**– Czy Teatr Jednego Aktora można porównać do występów na estradzie, kiedy aktor pozbawiony partnerów, a często i rekwizytów – pozostaje sam na sam z widownią?**

– Samo miejsce do grania – to przeważnieстрада. Natomiast propozycja artystycznie powinna stać

scena z filmu „Zmory”



się teatrem, przeżyciem teatralnym. Monolog satyryczny czy zbiór skeczów nie stanie się jeszcze Teatrem Jednego Aktora. Chyba, że... Ten rodzaj teatru powinien być odkrywczy, nienudny i niebanalny.

**– Jakle trzeba mieć doświadczenie i predyspozycje, aby podjąć się realizacji monodramu?**

– Nie wiem, czy jest to recepta, ale bierze się to chyba stąd, że nagromadzone doświadczenie chce się przekazać w formie bardziej samodzielnej. Jeśli chodzi o mnie pragnęłam sama zostać na scenie, w swoim, przez siebie stworzonym teatrze. Bez reżysera, scenografa i partnerów, żeby temu, co chcę widzowi powiedzieć nie mógł nikt przeszkadzać. Dążyłam do tego „sam na sam” z widownią, jak zakochana kobieta na spotkanie, na którym nikt więcej nie jest pożądanym.

Potrzebne predyspozycje to umiejętność widzenia siebie w spektaklu, w przestrzeni, ruchu, posiadanie rodzaju wyobraźni reżyserskiej. W swoich spektaklach Teatru Jednego Aktora szukam twarzy ludzkiej – takiej, która poprzez teatr staje się moja. W „Sonacie księżycowej” była to twarz starej kobiety, w „Pastorałkach polskich” – ludowej poetki, w „Czarownicach” – twarze różnych kobiet z polskiej wsi wydobytej z „mroków średniowiecza” (tytuł książki Józefa Putka, z której zaczerpnęłam kilka tekstów), wreszcie w „Balu u Salomona” – to twarz poetki, K.I. Gałczyńskiego.

**– Czy bywają w życiu aktorki chwile, kiedy nie wie co dalej?**

– Owszem, bywają. Teatru Jednego Aktora dotyczy w większym stopniu, gdyż sama czuję się odpowiedzialna tak za sukces, jak i za porażkę. Każda aktorka i aktor przeżywają chwile wahań, tracą wiarę w siebie, w nośność tekstu, który prezentują. Zastanawiają się, czy sposób przekazania utworu da upragniony efekt.

Wspominałam o „Balu u Salomona” – tu największe moje wątpliwości dotyczyły faktu, że ten poetycki monolog mówi mężczyzna. Czy ja będę w tym przekonująca? Z drugiej strony wyraża on czy wyraża różne postacie, a więc jest możliwość utożsamiania się z nimi. Ostatnio właśnie „Bal u Salomona” został utrwalony na taśmie w telewizji. Telewizja ma środki przekazu, które mogą być fascynujące, ale monodram w warstwie intymnego kontaktu z odbiorcą jest tam szczególnie trudny, chyba i do grania, i do oglądania. Dlatego jestem pełna wątpliwości, czy będzie to ten monodram, który sprawdził się na scenie. Grałam go przed bardzo różną publicznością w kraju. Prezentowałam go też różnej publiczności polskiej w Klubie Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku. Moje bardzo serdeczne związki z tą poezją (Gałczyński był poetą mojego dzieciństwa, pierwszych miłości) sprawiają, że mam duże wymagania.

**– Jest Pani czołową aktorką warszawskiego Teatru Studio zwanym też teatrem Józefa Szajny. Występowała Pani i występuje nadal w tak głośnych i bardzo dyskusyjnych inscenizacjach, jak: „Dante”, „Śmierć na gruszy”, „Witkacy”, „Replika”, „Majakowski”... w teatrze tym dominuje scenografia. Niektórzy uważają, że Szajna jako plastyk i scenograf – spycha aktora na drugi plan. Właściwie jest on mu tylko potrzebny po to, aby ożywić swoje teatralne wizje. Czy stworzenie przez Panią Teatru Jednego Aktora nie jest ucieczką w świat czystego tekstu?**

– Zaskoczył mnie pan tym pytaniem. Z teatrem Szajny jestem związana od lat, jeździliśmy sporo po świecie, np. teraz po raz drugi aż do Meksyku. Czyli że teatr ten sprawdza się i w kraju i za granicą. Zawdzięczam dużo wybitnemu człowiekowi teatru, jakim jest Józef Szajna, jego pasji, umiejętności, pobudzania wyobraźni poetyckiej i plastycznej.

Plastyka, rekwizyty, sytuacje sceniczne, kompozycje przestrzeni – to podstawowe elementy teatru Szajny. Ale aktorzy też mają co grać. Są aktorzy wyraźnie wykreowani przez swoje teatry, film, czy telewizję naturalnie zgodnie ze swym talentem i dzięki niemu, ale są też i inni, jak ja, którzy próbują robić coś jeszcze, nie uzyskując wielkiej popularności, mogą być również bardzo usatysfakcjonowani aktorsko. A to, że może odczuwam pewien niedosyt i „uzupełniam” to sobie w monodramie. Czy ja wiem? Chyba coś w tym jest...

**Rozmawiał ZDZISŁAW ORNATOWSKI  
Fot. LECH SUCHCICKI**